

## Teoria – ale jaka?<sup>1</sup>

„Czytać systemowo... to jakby zabijać w nas to,  
co stanowi naszą ludzką skłonność do czystego  
i bezinteresownego czytania”.  
Virginia Woolf, *Hours In a Library*

Wszyscy – my, czytelnicy – przychodzimy po teorii. To oczywiste. Ale po jakiej teorii? Powszechnie przyjmuje się, że od kilku dziesięcioleci żyjemy w czasach rewolucji teoretycznej. I jest to prawdą. Zасыpują nas coraz to nowe teorie, metodologie, terminologie, retoryki. Teoria jest wszędzie. Rzadko zdarza się natrafić dziś na opublikowaną dyskusję lub odczyt o literaturze albo usłyszeć wykład, rzecz jasna z ust pracownika naukowego, w którym nie byłyby eksploatowane terminy nieużywane wcześniej, powiedzmy w 1965 roku, i który nie oddawałby czci uznanym teoretykom literatury, możliwe, że piszącym już wcześniej, ale znanym wtedy jedynie w gronie najbliższych kumpli i kolegów po piórze. Gdyby jakiś krytyk, podobnie jak Rip Van Winkle, bohater opowiadania Washingtona Irvinga, obudził się teraz po pięćdziesięciu latach ze swojej drzemki, zapewne nie rozpoznałby krytycznoliterackiej wieży Babel, do której przyszło mu powrócić. Cynicy są zdania, że jako literaturoznawcy zawsze darzyliśmy zbyt wielką miłością neologizmy, ponieważ wszyscy jesteśmy grupą zdesperowanych pseudonaukowców poszukujących uzasadnienia dla swojej pracy, zawsze tak wyczulonych na pretensjonalne i poważnie brzmiące terminologie, za pomocą których moglibyśmy w błyskotliwy sposób rozłożyć na łopatki naszych oponentów. Jeśli to stwierdzenie jest trafne, to ostatnie dziesięciolecie okażą się wyjątkowo satysfakcjonujące dla wszystkich wtajemniczonych, bo cały ten krytyczno- i teoretycznoliteracki interes aż jeży się od neologizmów, a czytelnicze niebo połyskuje od retorycznej brawury. Nasz teoretyczny słownik daje niezły show. Albo kiepski, jeśli jesteś akurat jednym z przeciwników Teorii. (Ten terminologiczny miecz okazuje się bowiem mieczem obosiecznym).

Jak twierdzi konserwatywne stowarzyszenie amerykańskich uczonych (U.S. National Association of Scholars, w skrócie NAS), „postmodernistyczne” wydziały literatury można

---

<sup>1</sup> Skrócona wersja rozdziału książki Valentine’a Cunninghama *Reading After Theory*, Oxford 2002, przedrukowana w zbiorze *Theory’s Empire. The Anthology of Dissent*, pod red. D. Patai i W.H. Corrala, Nowy Jork 2005. Publikacja tłumaczenia za zgodą autora.

łatwo rozpoznać po tym, że katalog proponowanych przez nie kursów zawiera przynajmniej część spośród 115 najczęściej wyszukiwanych pozycji, których listę stowarzyszenie ([www.nas.org](http://www.nas.org)) usłuźnie sporządziło. Znalazły się na niej takie hasła, jak: działanie, AIDS, Baudrillard, ciała, kanoniczność, Chomsky, filmowy, dyskryminacja klasowa, kody, kolor, kontekstualizacja, zdecentralizowany, Deleuze, de Man, Derrida, dyskurs, dominujący, erotyczny, eurocentryczny, feminizm, feminizmy, feministyczny, Foucault, Freud, freudowski, gej, gejowskość, spojrzenie, płęć, płciowy, Guattari, ginocentryczny, hegemoniczny, heteronormatywny, heteroseksizm, historystyczny, homoerotyzm, tożsamość, ideologia, imperializm, incest, Lacan, lesbijski, lesbijskość, logocentryczny, Lyotard, męskość, zmarginalizowany, marksizm, modernizm, opresja, inność, patriarchalny, dziedzictwo, fallocentryczny, postkolonializm, postmodernizm, poststrukturalizm, władza, praxis, popęd płciowy, queer, queerowy, rasa, seks, seksizm, seksualność, niewolnictwo, strukturalizm, mniejszościowy, subiektywizm, teoria, transgenderowy, transseksualny, głos, bycie białym człowiekiem (ang. *whiteness*), kobiecość, womyn<sup>2</sup> (kobieta niezależna, neologizm od słowa *woman*)<sup>3</sup>.

Tymi sześćdziesięcioma hasłami posłużyli się autorzy suplementu literackiego do londyńskiego „Timesa” (*Times Literary Supplement*, dalej jako TLS) z dnia 6 października 2000 roku, z satysfakcją obwieszczając, że ten, kto marzy, by „jego komórki mózgowe aż lśniły z zachwytu”, powinien uczęszczać do koledżu, w którym pojawia się „najwyższy procent” owej „postmodernistycznej” terminologii. Ale zarówno NAS, jak i TLS myślą się – i to z historycznego punktu widzenia. Te właśnie terminy i interpretacje oraz proponowane wraz z nimi sposoby lektury są przecież obecne na każdym wydziale filologicznym oraz w innych instytucjach czy pracowniach zajmujących się na przykład studiami kulturowymi (*Culture Studies*), które również traktują literaturę jako dowód i zachęcają do tego, by uczynić z „czytania” tekstów rodzaj metody śledczej. I jest to normą. Interpretacja uprawiana współcześnie na uczelniach najwidoczniej nie może się bez nich obejść.

Teoria oparta na pojęciach z listy sporządzonej przez stowarzyszenie NAS – a zatem, jak ją nazywam, Teoria przez wielkie T – jest po prostu wszechobecna. Mimo to wiele z tego, co pojawia się pod tą nazwą, nie jest w ścisłym sensie teoretyczne jako propozycja, model, teza czy opis, który by w naukowy, to jest mierzalny sposób pokazał, czym są literatura i literackość, oraz jak funkcjonują. Wiersze, powieści czy gatunki nie przypominają bowiem enzymów, cząstek atomowych czy pierwiastków chemicznych, nie są też księżycami czy wielkimi chodzącymi bytami, które nazywamy ciałami (choć „ciało” to jedna z ulubionych metafor odnoszonych do literatury: mówimy na przykład „ciało tekstu” albo „w ciele utworu” itp.). Bylibyśmy więc w błędzie, oczekując, że teoria literatury mogłaby funkcjonować na podobnych zasadach, jak twierdzenia, dowody, symbole matematyczne czy równania w naukach ścisłych. To jednak wcale nie powstrzymuje wielu Teoretyków

<sup>2</sup> Womyn – neologizm mający na celu podkreślenie niezależności kobiety od mężczyzny. Niezależność ta zostaje zmanifestowana już na poziomie budowy wyrazu poprzez zastąpienie cząstki *man* (oznaczającej męczyznę) cząstką nienasuwającą takich skojarzeń (przypis tłum.).

<sup>3</sup> National Association of Scholars, *Losing the Big Picture: The Fragmentation of the English Major Since 1964*, Nowy Jork 2000.

od poszukiwania naukowości. Niektórym udaje się nawet uzyskać coś, co może ją choć trochę przypominać. Im bliżej Teoretykom do badań lingwistycznych, tym bardziej wyniki ich analiz wydają się przekonujące. Wyodrębnione przez językoznawców elementy, struktury i funkcje – na przykład spółgłoska międzyzębowa bezdźwięczna, fonem, przypadek, *signifié* albo zdanie – pod względem swojej poznawalności oraz skończoności wykazują podobieństwo do cząstek lub księżyców, czyli obiektów, których natura i działanie mogą być przez nas rozpoznane, przewidziane i rzeczywiście steoretyzowane. Inaczej jest jednak z takimi pojęciami, jak satyra, powieść czy szesnasty wiek.

Wiele z tego, co funkcjonuje pod szyldem teorii literatury, a zwłaszcza Teorii pisanej wielką literą, występuje w literaturze jako zestaw gotowych kodów rodzajowych, które Gérard Genette określił mianem poetyki „konstytutywnej” bądź „esencjalnej”, a E.D. Hirsch – nazwał „podstawową hermeneutyką”. W praktyce jednak większość „teorii”, także tej pisanej wielką literą, sprowadza się do tego, co Stanley Fish nazwał regułą kciuka, a Genette – „poetyką warunkową”. Chodzi między innymi o podejście do tekstu literackiego uprzywilejowujące niektóre wersy lub sposoby lektury, o ułatwienia interpretacyjne, o proste praktyki krytycznoliterackie (jak sugeruje Fish), o przekonania lub nawet o intuicję – czyli stertę użytecznych chwytów, które trafiły akurat do podręcznego krytycznoliterackiego kuferka, o wszystkie te postawy i ćwiczenia kierowane tyleż przez prawdopodobieństwo i pragmatyzm, ile przez konieczność, niektóre całkiem bzdurne lub jedynie robione na próbę, słowem, o to wszystko, o czym „teoretyk” zdołał kiedykolwiek pomyśleć<sup>4</sup>.

Teoretycy nie lubią zarzutu bałaganiarstwa i ze wszystkich sił starają się go uniknąć. Niektórzy usiłują trzymać się etymologii i dosłownego znaczenia swojej profesji, powołując się na greckie słowo *theoros*, czyli widz. Stąd też teoria to praca widza, czyli zajęcie, któremu oddają się obserwatorzy i widzownia. Większość Teoretyków powołuje się na konkretny autorytet albo obecność „wspólnoty interpretacyjnej”, na „estetykę recepcji” czy różnego rodzaju czytelnice „spojrzenia” w tekście rozumiane jako stałe wyznaczniki lektury. Twierdzenia te pozostają jednak tak samo karkołomne i wykrętne jak wszystko inne, co interesuje Teoretyków, im samym zaś wciąż nie udaje się umocnić w swoim dążeniu do tak potrzebnej im naukowości. W rzeczy samej myślenie o teorii/Teorii jako o sporcie polegającym na obserwowaniu odsuwa całą zabawę na bok. Co dokładnie oznacza wspólnota interpretacyjna? To niespójna grupa rozgadanych „interpretatorów” biegających po poletku Teorii. A tacy niedbali interpretatorzy tworzą równie luźne kanony teoretyczne – bardziej warunkowe niż konstytutywne, by użyć tu rozróżnienia Genette’a. Literaturoznawcze steoretyzowanie, generalnie mówiąc, coraz bardziej oddala się od tego, co Niemcy nazywają *Literaturwissenschaft*, czyli nauką o literaturze. I dzieje się tak nawet wtedy, gdy starają się to robić tak zwani uczeni. Psychiatra Jacques Lacan, jeden ze współczesnych mistrzów Teorii, zaprezentował swoje rozważania

<sup>4</sup> Mam tu na myśli takich teoretyków, jak Gérard Genette (zob. idem, *Fiction et diction*, „Poétique”, Paryż 1994), Eric Donald Hirsch czy Stanley Fish (zob. idem, *Konsekwencje*, [w:] idem, *Interpretacja, retoryka, polityka. Eseje wybrane*, pod red. A. Szahaja, tłum. różni, Kraków 2008).

teoretycznoliterackie jako część rozważań naukowych. Jego prace aż roją się od algebry i algorytmów, pełno w nich wyrażań mających za zadanie wyrazić funkcje języka, poznanie oraz samej lektury. Ale to wcale nie dodaje jego pomysłom i spekulacjom tego samego teoretycznego statusu, jaki mają studia astrofizyczne czy biochemiczne (jest to, rzecz jasna, w równym stopniu problem psychiatrii, jak literaturoznawstwa).

Ciągle jednak rozmawiamy o teorii, a moje rozważania będą dotyczyć Teorii pisanej wielką literą. Mimo nieprecyzyjności i rozmytego zakresu tego terminu wydaje się on wygodny w użyciu, a każdy z nas wie mniej więcej, do czego odsyła w praktyce. Składa się on rzeczywiście z luźnego zbioru pojęć i problemów wynotowanych przez stowarzyszenie NAS oraz z powiązanych z nimi założeń metodologicznych. Wszyscy wiemy, o co chodzi. Chodzi o to, co mniej lub więcej miał na myśli Jonathan Culler, gdy w 1982 roku pisał w książce *On deconstruction*<sup>5</sup>, że „teoria literatury” skrócona do „teorii” stanie się wygodniejszym terminem na oznaczenie współczesnych rozważań literaturoznawczych, zyskując status rozpoznawalnego „rodzaju” badań, którego sposobem praktykowania, a zarazem sposobem zbliżenia się do jego istoty, będzie, przykładowo, „czytanie z punktu widzenia kobiety”.

A zatem to, co kryje się pod szyldem teorii i co ja mam na myśli pod pojęciem Teorii, jest tym, czego czytelnik lub słuchacz oczekuje i co w rzeczy samej odnajduje w tych wszystkich kursach uniwersyteckich nazywanych „Teorią” czy „Wprowadzeniem do teorii” albo w licznych antologiach i podręcznikach akademickich. W ich zasięgu mieszczą się zarówno strukturalizm czy feminizm, jak i marksizm, estetyka recepcji, psychoanaliza, dekonstrukcja, poststrukturalizm, postmodernizm, a także Nowy Historyzm i postkolonializm – a zatem te wszystkie zagadnienia problemowe z różnych części antologii *Literary Theories: A Reader and Guide* (1999) pod redakcją Juliana Wolfreysa, wymienione w takiej kolejności, w jakiej pojawiają się w książce. Najważniejszymi nazwiskami tak rozumianej Teorii są, rzecz jasna, tacy guru jak Michał Bachtin, Walter Benjamin, Roland Barthes, Louis Althusser, Jacques Derrida, Paul de Man, Jacques Lacan, Julia Kristeva, Luce Irigaray, Michel Foucault, a zatem, jak widać, w większości badacze francuskojęzyczni, którzy (jak trafnie ujął to John Sturrock<sup>6</sup>), począwszy od lat 60. XX wieku, napędzali głoszonym przez siebie Słowem podatne uszy anglofonów. (Zasadniczy moment tego wzruszającego spotkania i zarazem kulturowego wtajemniczenia przypadł na rok 1966 – datę konferencji na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa w Baltimore, kiedy to francuski strukturalizm, a *de facto* poststrukturalizm, został po raz pierwszy zaprezentowany uczonym amerykańskim. Wtedy też Jacques Derrida oraz jego dekonstrukcyjna wizja lektury jako wiecznej gry „dwóch interpretacji interpretacji” zyskały natychmiastową popularność i uznanie. Pomysł badacza opierał się z jednej strony na starej i trochę zużytej formule logocentrycznej, związanej z poszukiwaniem znaczenia rozumianego jako prawda, a z drugiej – na bardzo nowoczesnym pojmowaniu sensu utworu jako czegoś

<sup>5</sup> W polskim przekładzie jest dostępny jedynie artykuł Cullera *Dekonstrukcja i jej konsekwencje dla badań literackich*, tłum. M.B. Fedewicz, „Pamiętnik Literacki” 1987, z. 4, [przedruk w:] *Dekonstrukcja w badaniach literackich*, pod red. R. Nycza, Gdańsk 2000 (przypis tłum.).

<sup>6</sup> Zob. J. Sturrock, *The Word from Paris: Essays on Modern French Thinkers and Writers*, Londyn 1998.

nieskończonego i niemierzalnego, przypominającego rozwijaną w nieskończoność sieć lub labiryntową płataninę znaczeń<sup>7</sup>).

To, co rozumiemy pod pojęciem teorii i co wylania się ze studenckich podręczników i kompendiów, jest więc, jak widać, zbiorem różności. Zbiorem ogromnym, a jednocześnie fascynującym. Chciałoby się od razu dodać: zbyt wielkim jak na jedno pojęcie, a z pewnością w porównaniu z minimalistycznym podejściem Jonathana Cullera zaprezentowanym w książce *Teoria literatury: bardzo zwięzłe wprowadzenie*<sup>8</sup> (1997). Dlatego też na przykład Julian Wolfreys optuje za terminem „teorie literatury”. W każdym razie to bardzo pojemne, workowate hasło „Teoria” wydaje się nie tylko aż zbyt poręczne, by pomieścić wszystkie idące za nim treści, lecz także nadmiernie upraszczające, zamykające pod pozornie jednolitą nazwą różnorodne idee.

„A jednak w domyśle pod nazwą »teoria literatury« kryją się raczej poszczególne punkty widzenia niż coś, co tworzy jedną całość lub spójną konstrukcję, która łączyłaby różne aspekty lub liczne, a często po prostu osobne, tożsamości. Nazywając jednym terminem te różne obiekty czy tożsamości, nie tylko nie bierzemy pod uwagę ich rozdzielności oraz pojedynczości każdej z nich jako osobnej całości, lecz także w pewnym sensie dokonujemy zatarcia różnic między nimi, w efekcie przestając je w ogóle dostrzegać”<sup>9</sup>.

Wolfreys ujął to trafnie; jak wielu innych zagorzałych Teoretyków jest on bardzo zgnębiony wszelkimi próbami odebrania siły poszczególnym ujęciom teoretycznym, na przykład dekonstrukcji, feminizmowi czy też jakiegokolwiek innemu nurtowi, i na groźbę takiej ujednociającej tendencji wskazuje. Mimo to jest w tym uporczywym dążeniu do utrzymania *status quo* trochę sensu. Teoretykom literatury rzeczywiście udało się dokonać na naszej dyscyplinie zadziwiającego zamachu stanu lub co najmniej niezwyklej sztuczki, skoro przez tak długi czas łączyli pod jednym szyldem ogromną różnorodność zagadnień, problemów, kierunków badawczych, pomysłów, przekonań, cały czas przewijających się w literaturoznawstwie, i upychali je w worku z napisem „Teoria”. Potrafili połączyć tyle skrajności, a nawet byli zdolni do tego, by podczas wspólnych obrad siadać przy jednym stole konferencyjnym i zapominać o potencjalnych różnicach między reprezentowanymi stanowiskami badawczymi. Mimo że zwykle zdecydowanie protestowali przeciwko Wielkiej Narracji oraz Jednemu Kluczowi do Wszystkich Mitologii, uznając je za narzędzia złudne i imperialistyczne, udało im się stworzyć Największą Narrację ze wszystkich – Teorię – intelektualnego kolonizatora wszech czasów. To, jak ów ledwo trzymający się na nogach kolos został zrodzony, oraz samo to, że można zmieścić pod jednym dachem zarówno tematykę polityczną, jak i indywidualną; pojęcia osobowości, jak i klasy społecznej, płci czy rasy; problem kontekstu, jak i czysto zewnętrzne spojrzenie na tekst; opis i dokumentaryzm, reformistyczne intencje i kwestie ideologicznej instrumentalizacji pisania; to, co wyobrażone i to, co wyobrażające, jako nieodłączne składniki związane ze sprzecznymi funkcjami pisania – czysto formalną, technicznie

<sup>7</sup> Zob. J. Derrida, *Struktura, znak i gra w dyskursie nauk humanistycznych*, tłum. M. Adamczyk, „Pamiętnik Literacki” 1986, z. 2.

<sup>8</sup> Polski przekład w tłumaczeniu Marii Bassaj ukazał się w 1998 r. (przypis tłum.).

<sup>9</sup> J. Wolfreys, [wstęp do:] *Literary Theories: A Reader and Guide*, pod red. J. Wolfreysa, Edinburgh 1999, s. X–XI.

językową i tę skierowaną do wewnątrz, odrzucającą związki ze światem, świadczącą o aporetycznym trudzie pisania – jak to wszystko udało się połączyć, raczej umyka zwykłej logice. Fundamentalizm i jego przeciwieństwo – tak mniej więcej możemy powiedzieć o marksizmie i dekonstrukcji umieszczonych obok siebie, jak dwoje niedopasowanych kochanków. Ale Teoria umiejętnie dobiera ich w pary lub przynajmniej z mniejszą lub większą beztrząsą lokuje jako gości w jednym pokoju hotelowym.

Sekret tych dziwacznych i niebezpiecznych związków, owej umiejętności trzymania wszystkiego w garści, tkwi oczywiście w uniwersalnych źródłach de Saussure'owskiego *Kursu językoznawstwa ogólnego* – przekonujących wykładach skierowanych do garstki studentów genewskich, którzy w latach poprzedzających wybuch I wojny światowej łaknęli czegoś odmiennego od dziewiętnastowiecznej filologii. Wykłady te zostały następnie zebrane z ich notatek i wydane już po śmierci autora. Ów niebywale hojny wkład de Saussure'a w teorię literatury, stanowiący w istocie podwaliny nowoczesnej Teorii i jej ogromnej różnorodności, to dwustronna wizja lingwistyczności – z jednej strony otrzymujemy gruntowny przegląd definicji języka jako takiego oraz koncepcję znaczenia jako aktywności dokonującej się jedynie w języku oraz w tekście, a z drugiej dowiadujemy się, że dzięki nowej nauce o znakach jako bytach społecznych, *semiotyce*, można, podobnie jak sam język i teksty, badać wszelkie wytworzone przez człowieka struktury. Tu bije źródło tak zwanego zwrotu lingwistycznego w badaniach teoretycznoliterackich oraz podstawa obsesyjnej lingwistyczności, która charakteryzuje Teorię. De Saussure'owska terminologia i koncepcje stanowiły świetną pożywkę dla intelektualistów, a po II wojnie światowej, kiedy upowszechniły się również w Europie Zachodniej i obu Amerykach (wcześniej były popularne głównie w Europie Wschodniej), stały się po prostu normą na studiach literaturoznawczych.

Błyskotliwe sugestie de Saussure'a przyjęły się natychmiast. To, że język powinien być rozumiany jako system raczej znaków niż słów i że organizacja owego systemu opierała się na zestawach opozycji – powiązanych ze sobą par przeciwności – dzięki którym znaki tworzyły połączenia *signifiant* (znaczącego, czyli elementu wypowiedzianego lub zapisanego) z *signifié* (znaczonym, czyli obrazem mentalnym lub ideą wyprodukowaną przez znak); a także że czas i przestrzeń języka, warunki jego istnienia, stanowią przeciwstawienie przeszłości i teraźniejszości, synchronii (stanu języka w jego dowolnym momencie) oraz diachronii (język w historii, historia języka); wreszcie to, że sam język, istniejąc, tworzy opozycję potencjalnego i rzeczywistego jego użytkowania (*langue* jako język *in potentia*, a *parole* jako język rzeczywisty, będący w użyciu): to wszystko stało się z czasem dobrze przyswojoną wiedzą, którą wchłonęła Teoria. De Saussure twierdził (zresztą całkiem trafnie), że wyodrębnione przez niego opozycyjne pary nie mogą być w praktyce rozdzielone, ale w swoich wykładach zdecydował się nie precyzować szerzej tego, czym jest *signifié*, *parole* czy diachronia języka. I pod tym względem popełnił błąd, gdyż Teoretycy, którzy z zapałem poszli tropem jego koncepcji, obwieścili wkrótce, że te właśnie aspekty języka przestały się liczyć i nie obowiązują w krytyce literackiej. Uwierzyli, że podczas czytania literatury nie ma potrzeby brać ich pod uwagę czy stawiać

na pierwszym planie, ponieważ sama literatura jakoby uprzywilejowuje raczej *signifiant* niż *signifié*, będąc w istocie niehistoryczną (czyli niezorientowaną diachronicznie) oraz nakierowaną raczej na tekst (na język pisany, *langue*) niż na mowę (*parole*). Te formalistyczne uściślenia odnoszone do inspirowanej myślą de Saussure'a Teorii brzmią dziś zapewne troszkę dziwacznie, a nawet nieco śmiesznie, ale każdy, kto traktuje je z przymrużeniem oka, powinien zajrzeć do, powiedzmy, wpływowej książki Terence'a Hawkes'a zatytułowanej *Structuralism and Semiotics* (1977), pierwszego tomu podręczników do Teorii z serii *New Accents* wydawanych przez Methuen & Co, i przekonać się na własne oczy, jak silną pozycję zajęły w nauczaniu akademickim. Były to bezcelne przeróbki pomysłów de Saussure'a, ale proceder ten kwitł dalej i polegał na krążeniu ciągle wokół tych samych, opacznie zrozumianych wersów. Znaki są arbitralne, twierdził de Saussure, i mają luźny związek z tym, co oznaczają – rzeczywiście jest w tym trochę prawdy: słowo *koł* mogłoby równie dobrze oznaczać *psa* czy cokolwiek innego – ale szybko wszystko, co wiązało się z językiem, pisaniem czy znaczeniem, zaczęło być uważane za arbitralne, nieugruntowane w żadnej rzeczywistości, postrzegane jako czcza iluzja.

„Arbitralność tego, co znaczące” – wyrażenie, którego autorem nie był bynajmniej de Saussure, jako że on sam mówił zawsze o *arbitralności znaku* – przyjęło się jako kod, za pomocą którego Teoria wypowiadała się na temat lingwistyczności literatury oraz samej literackości. Fonemy, cząstki tworzące słowa, stanowiły – zgodnie z tym, co twierdził de Saussure – system nie tyle referencji, wzajemnych odniesień, ile różnic (*a* nie jest *b*, nie jest *c* itd.). Wkrótce jednak cały ten odnoszący się do języka i tekstu materiał pojęciowy zaczął być rozumiany jako ciąg raczej różnicujących niż referencyjnych systemów, jako przypadki niekończących się odniesień do tekstu, określane trafnym francuskim terminem *mise en abyme* oznaczającym pisanie zapadające się coraz głębiej i głębiej w czarne dziury odwlekanego znaczenia. Niebawem też Jacques Derrida rozpoczął swoją przewrotną grę ze słowem *różnica* (franc. *différence*), od którego utworzył derywat *różnia* (franc. *différance*), podkreślając w ten sposób stan zawieszenia związany z różnicującym się znaczeniem oraz demonstrując ideę gry (franc. *jeu*) tym, co znaczące – metaforę tę jednak niewłaściwie przetłumaczono na język angielski jako wolną grę (ang. *freestyle*) tym, co znaczące, i to właśnie ów koncept znalazł się później na stronach setek opracowań krytycznoliterackich. Następnie *aporia*, stary termin przejęty z retoryki, zaczął się liczyć jako element gry – tej właśnie wolnej gry – i oznaczać ten sam efekt, czyli niedające się osiągnąć znaczenie tekstu – podczas gdy *aporia* oznacza właściwie koniec, ślepy zaułek docierania do sensu, a nie całkowite zapadnięcie się w jakąś lingwistyczną czarną dziurę. Jacques Lacan szybko podchwycił tę retorykę luk i braków, owych *béances*, dziur sensu – i wkrótce wszystkie możliwe teksty zapełniły się podobnymi określeniami.

Oczywiście ten ciąg koncepcji lingwistyczno-literaturoznawczych na dobre zagościł w każdej liczącej się pracowni badawczej na całym świecie – świecie głęboko semiotycznym, w społeczeństwie pełnym znaków, jak mógłby powiedzieć sam de Saussure. Niebawem wszystko zaczęło być postrzegane jako struktura zorganizowana na podobieństwo

języka – języka, rzecz jasna, widzianego na sposób de Saussure'owski. Była to najważniejsza teza Strukturalizmu. Antropolog Claude Lévi-Strauss stał się znany z tego, że na przykład struktury rodzinne postrzegał jako zestawy opozycji typu de saussure'owskiego. Z jego badań antropologicznych wynikało, rzecz jasna, że pierwotne przekazy kulturowe przypominają struktury o charakterze językowym. W ten oto sposób torowała już sobie drogę Antropologia Strukturalna. Sławę zyskał Roland Barthes, który próbował odczytać elementy kultury francuskiej (takie jak zawody zapaśnicze itp.) na podobieństwo struktur językowych. Jeszcze większy sukces odniosła jego lektura francuskich czasopism o modzie jako systemu znaków wytworzonego przez francuski przemysł mody. Ta raz wprawiona w ruch, analityczna machineria nie zamierzała się jednak ani na chwilę zatrzymać. Na przykład nieświadomość była, według Lacana, zorganizowana podobnie jak język rozumiany zgodnie z przejętym przez Teoretyków modelem de Saussure'a. Lacań zaś, rzecz jasna, stworzył swój własny (oparty na diagramach geometrycznych) „algorytm”, który pokazywał upodrzedzenie znaczonego. Znak powinien być reprezentowany za pomocą diagramu  $\frac{S}{s}$ : duże znaczące (*signifiant*) nad bardzo małym znaczoną (*signifié*), który zawsze z lękiem i opieszałością zsuwa się czy też ześlizguje pod ważniejsze od niego znaczące. Tak właśnie wyglądał wartki obieg omawianych pojęć na Teoretycznej scenie, a krytycy literaccy z entuzjazmem wypowiadali się na temat ślizgających się znaczących (zob. chociażby książkę Colina McCabe'a poświęconą obecności ślizgających się znaczących u Joyce'a pt. *Joyce and the Revolution of the Word*, 1978). Z lingwistycznych koncepcji powstawały kolejne, a te przenikały do literaturoznawstwa. Oto, jak sprawnie przebiegała sławetna cyrkulacja pomystów. Zaraźliwe ześlizgiwanie się.

Rzecz jasna, nadużywanie analogii od wieków niepokoi historyków literatury zajmujących się problemem interpretacji. Analogie to zbyt łatwi do pozyskania i zawodni sprzymierzeńcy, a model języka pociągał za sobą mnóstwo takich właśnie użytecznych, lecz przygodnych paralel. Przyjął się on jednak na dobre. W strukturalistycznym odczytywaniu literatury postrzeganie tekstu jako konstrukcji zbudowanej z fonemicznych lub morfologicznych modeli strukturalnych lub opozycyjnych zestawów itp. zaowocowało całą serią prac poświęconych „morfologicznej” analizie bajki rosyjskiej, zainicjowanych przez książkę *Morfologia bajki* (wyd. ros. 1928, wyd. ang. 1958<sup>10</sup>) autorstwa zainspirowanego de Saussure'em rosyjskiego formalisty Władimira Proppa. Wszystko to wydawało się jeszcze w miarę logiczne, przecież literatura istnieje dzięki językowi i czemu innemu, jeśli nie modelom lingwistycznym, miałyby podlegać? Tu jednak czaił się już gotowy zestaw językoznawczych analogii aplikowanych do wszystkiego, czym tylko postugiwał się użytkownik języka i co zostało wkrótce zinterpretowane jako odnoszące się do tekstu, tekstualne, a następnie określone mianem „retoryki”, „dyskursu”, „opowieści” czy też „narracji”.

W tym świecie społecznych konstrukcji pojęcie „dyskursu” upowszechnił, za sprawą swojej błyskotliwości i talentu analitycznego, Michel Foucault. Szczególną wagę przyznał on jednak analizie tych obszarów społecznych, w których władza doprowadza

<sup>10</sup> Wydanie polskie w tłumaczeniu Wiesławy Wojtygi-Zagórskiej zostało opublikowane w 1976 roku (przypis tłum.).



do sytuacji społecznego i indywidualnego poddaństwa, marginalizacji, podporządkowania, i na tej podstawie stworzył definicje szaleństwa, choroby, zbrodni, dewiacji seksualnych. Zgodnie z jego argumentacją autorytatywne ustalenia dokonane w poszczególnych epokach historycznych miały formę odmiennych „dyskursów” lub sformułowań o charakterze epistemologicznym, które z kolei można czy nawet trzeba interpretować i rozumieć tak jak język i jemu podobne struktury<sup>11</sup>. Foucault odziedziczył francuską skłonność do lewicowości – zresztą wszyscy ważniejsi Teoretycy francuscy skłaniali się, jak sami wyznawali, mniej lub bardziej w stronę marksizmu – sięgając po stare poglądy na temat klasowego i ekonomicznego prześladowania, aby dać nowy opis opresyjnego spojrzenia władzy, naznaczającego prześladowanego Innego (więźnia, szaleńca, ucznia, chorego bądź geja): to spojrzenie było upolitycznioną wersją psychologizującego spojrzenia Lacana, z kolei pojęcie Innego stanowiło upolitycznioną wersję Lacanowskiej inności pełną odniesień do starej de Saussure’owskiej/nowej Derridiańskiej teorii różnicy. W ten oto sposób „władza” stała się absolutnie uniwersalną koncepcją krytycznoliteracką, a idea opresyjnego panoptycznego spojrzenia – po dokonaniu przez Foucaulta historycznej alegoryzacji dziewiętnastowiecznych więzień-panoptików w książce *Nadzorować i karać* (wyd. franc. 1975, wyd. ang. 1977)<sup>12</sup> – zapanowała wszędzie. I, rzecz jasna, ci, którzy konceptualnie opowiedzieli się po stronie prześladowanego Innego i w ogóle wszelkiej inności oraz wszystkiego, co odmienne w sensie społecznym, niemal od razu znaleźli sprzymierzeńca w Michaiile Bachtinie, twórcy koncepcji karnawalizacji opisaney w pracy *Twórczość Franciszka Rabelais’ego a kultura ludowa Średniowiecza i Renesansu* (1968), która z kolei, by tak rzec, spadła z nieba wprost na kolana Derridy i stała się inspiracją dla jego koncepcji tekstualności jako gry. Prace Foucaulta zaś miały tę właściwość, że wchłaniały własne analogie i blisko było im do analiz o charakterze politycznym (takich jak koncepcja karnawalizacji), z których tak naprawdę powstały. Stąd też, poparty chwytliwą Foucaultowską retoryką dyskursów władzy, wziął swoje nowe oblicze – choć nie on jeden – feminizm, już wcześniej podobnie definiowany w tekstach krytycznych przez wiele pisarek od Mary Wollstonecraft po Virginie Woolf. Pozostałe silnie analityczne -izmy stanowiące dziś główne przyczółki Teorii również znalazły oparcie we wpływowych koncepcjach Foucaulta: studia postkolonialne, czyli przesyczone złością i początkowo inspirowane marksizmem prace o imperializmie, oraz ich bliźniaczy twór – *black studies*, odznaczające się podobnym gniewem analizy powstałe w następstwie długotrwałych czasów niewolnictwa, zwłaszcza w USA; a także Nowy Historyzm wprowadzony na scenę przez grupę byłych marksistów, w momencie pojawienia się dekonstrukcji rozglądających się akurat za użyteczną teorią, która uprawomocniłaby ich literacko-kulturowe pragnienia; i tak zwany materializm kulturowy wymyślony przez pilnych, swego czasu, brytyjskich marksistów, Alana Sinfielda i Jonathana Dollimone’a, związanych z wpływowym ośrodkiem naukowym w Cambridge (w Anglii) tworzonym przez Raymonda

<sup>11</sup> Najpełniejszą bibliografię prac Foucaulta sporządził David Macey. Zob. idem, *The Lives of Michel Foucault*, Londyn 1993.

<sup>12</sup> Wydanie polskie w tłumaczeniu Tadeusza Komendanta – 1993 r. (przypis tłum.).

Williamsa i F.R. Leavisa, inspirującego również Terry'ego Eagletona; oraz, oczywiście, *queer studies*, chrzestne dziecko Foucaultowskich opowieści o seksualności. A skoro już trójca Płeć, Rasa i Przynależność Klasowa stały się dominantą w badaniach krytycznoliterackich (i studiach kulturowych), to zawdzięczają one pracom Michela Foucaulta to, że w błyskotliwy sposób zostały ze sobą połączone (ze szczególnym naciskiem położonym na Rasę i Płeć, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, w których marksizm nigdy nie miał siły przebicia, a świadomość klasowa oraz związana z nią retoryka są jak na brytyjskie i europejskie standardy przedmiotem wielu nieporozumień, a nawet stanowią nadal rodzaj tabu).

Ten lingwistyczno-tekstowy zwrot doprowadził do stworzenia poręcznego i uniwersalnego zestawu tropów czy też pojęć-kluczy o, wydawałoby się, nieustającej adaptowalności i ideowej luźności. Henry Louis Gates Jr., najbardziej interesujący mówca spośród badaczy zajmujących się *black studies*, odwołując się do teorii literatury, którą my wszyscy w nieunikniony sposób włączamy do naszych lektur (a raczej do naszych teoretycznych hybryd, których sami nie jesteśmy nawet świadomi), nazwał ów zestaw „krytycznoliterackim gumbo”<sup>15</sup>. *Gumbo*<sup>14</sup> to wyborny, wieloskładnikowy (i, co ważne, związany z kulturą niewolników) miks, który jak najbardziej pasuje do roztrąconej przez Gates'a postkolonialnej wizji kulturowej *olla podrida*<sup>15</sup> w wydaniu amerykańskim. Gates trafnie powiązał potrawę *gumbo* z rzymskim wyrażeniem *satura lanx*, czyli kosz różnaitości, w którym znajduje się miejsce zarówno dla słodkiego, jak i kwaśnego, dla mięs mielonych, pieczonych i nadziewanych, a także dla kiełbasa – czyli tego wszystkiego, co przesiąknięty amerykańskością Gates określa jako *hash*, mieszankę<sup>16</sup> – a zatem połączył je z wyrażeniem, które ma etymologiczny związek z *satyrą* i dzięki niemu pozwala zrozumieć istotę tego mocno zróżnicowanego gatunku<sup>17</sup>. Wyraz *gumbo* świetnie ilustruje wszechstronność Teorii w naszych głęboko utekstwowionych czasach – Teorii, która wprawdzie bez intencji satyrycznych czy farsowych, ale z takimi właśnie efektami, stara się pogodzić wszystkie możliwe metody i koncepcje. To właśnie dlatego tak gładko, tak zwinnie przeniknęła ona do wielu dziedzin nauki – na przykład do geografii (powierzchnia Ziemi tworzy tekst, podobnie jest z powierzchnią miast oraz mapami pogodowymi itp.<sup>18</sup>); do historii (historiografia opiera się na pisaniu, a zatem może być interpretowana jako narracja, opowieść, chwyt retoryczny, a także opisywana za pomocą określonych tropów, a ci, którzy się tym zajmują,

<sup>15</sup> H.L. Gates Jr., *Authority, (White) Power, and the (Black) Critic; or, It's All Greek to Me*, [w:] *The Future of Literary Theory*, pod red. R. Cohena, Londyn 1989, s. 334.

<sup>14</sup> *Gumbo* – gęsty gulasz z warzywami, mięsem i owocami morza, bardzo popularny w stanie Luizjana w USA. Składniki tej tradycyjnej kreolskiej potrawy świetnie odzwierciedlają wielokulturowość Luizjany: *roux*, czyli zasmażka, to wpływ francuski, wędzona kiełbasa – hiszpański, pomidory – włoski, a okra – afrykański (przypis tłum.).

<sup>15</sup> *Olla podrida* – hiszpańska potrawa z grochu i mięsa, której nazwa oznacza dosłownie „zgnity garnek” (przypis tłum.).

<sup>16</sup> *Hash* – występująca w wielu odmianach, typowo amerykańska potrawa stanowiąca mieszankę mięsa i warzyw (przypis tłum.).

<sup>17</sup> Zob. H.L. Gates Jr., *The Signifying Monkey: A Theory of African – American Literary Criticism*, Oxford 1988, s. 223.

<sup>18</sup> Zob. D. Gregory, *Geographical Imaginations*, Oxford 1994.

sięgają po pojęcia rasy, płci czy klasy społecznej<sup>19</sup>); do muzyki (czyli mocno utekstwowionego produktu, któremu można przypisać takie kategorie, jak przynależność klasowa czy rasa, a zwłaszcza płeć; czy tercja mała może być gejowska? Ależ czemu nie, oczywiście, że może<sup>20</sup>); do teologii (koncepcja judeochrześcijańskiego Boga i Pisma Świętego, obie łatwo poddają się dekonstrukcji oraz narratywizacji, szczególnie w wypadku patriarchatu i logocentryzmu nasuwa się pytanie, dlaczego właśnie w Biblii upatruje się ich początku, a zatem dekonstrukcja zaczyna się już z Księgą Genesis<sup>21</sup>); do historii sztuki (w odniesieniu do wszystkich tekstów z nią związanych<sup>22</sup>); do teorii i praktyki architektonicznej (tu zwłaszcza dekonstrukcyjne budowle projektowane przez Daniela Liebeskinda); do prawa (z którym wiąże się jeszcze więcej tekstu i dekonstrukcyjnej interpretacji przepisów i ustaw<sup>23</sup>) oraz do medycyny (ciało to, bądź co bądź, tekst<sup>24</sup>). Teoretyczny efekt gumbo tłumaczy, w jaki sposób studia kulturowe, odnoszące się do tak wielu rozmaitych spraw, uznawanych za „kulturowe”, mogą zakładać jakiś rodzaj spójności. Słowem, chcąc one „odczytywać” wszystko to, co w ich założeniu daje się „odczytać”, ponieważ może być postrzegane jako utekstwowione, zobrazowane, znarratywizowane oraz skonstruowane na sposób językowy.

Czytelnicy czasopisma „Social Text” muszą nieco współczuć jego redaktorom, którzy zostali w tak przekonywający sposób nabrani przez naszpikowany terminologią naukową, lecz pusty poznawczo artykuł Alana D. Sokala *Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji*<sup>25</sup> stanowiący w rzeczy samej solidną porcję

<sup>19</sup> Szlaki przetarł swoimi książkami oczywiście Hayden White. Zob. idem, *Metahistory: The Historical Imagination In Nineteenth-Century Europe*, Baltimore 1973; idem, *The Content of a Form: Narrative Discourse and Historical Representation*, Baltimore 1987 (w Polsce ukazały się jedynie antologie tekstów White’a: *Poetyka pisarstwa historycznego*, pod red. E. Domańskiej i M. Wilczyńskiego, tłum. E. Domańska, M. Loba i in., Kraków 2000; *Proza historyczna*, pod red. E. Domańskiej, Kraków 2009 – przypis tłum.). Typowa dla tego zagadnienia jest też cała masa książek poświęconych opisom holokaustu, na przykład D. LaCapra, *Representing the Holocaust: History, Theory, Trauma*, Ithaca, Nowy Jork 1994.

<sup>20</sup> Zob. na przykład *Queering the Pitch: The New Gay and Lesbian Musicology*, pod red. P. Bretta i in., Londyn 1994; *The Work of Opera: Genre, Nationhood, and Sexual Difference*, pod red. R. Dellamara i D. Fischlin, Nowy Jork 1997.

<sup>21</sup> Zob. na przykład *The Postmodern Bible and Culture Collective*, red. G. Aichele i in., New Haven 1995, zawierającą ogromną i bardzo pomocną bibliografię przedmiotu. Z kolei na temat dekonstrukcji i teologii zob. zwłaszcza V. Cunningham, *The Rabbits Take It Up One After Another*, [w:] idem, *In the Reading Gaol: Postmodernity, Texts, and History*, Oxford 1994, s. 363–410.

<sup>22</sup> Ekspansja Teorii na teren historii sztuki dokonała się, jak sądzę, wraz z przedstawieniem interpretacji obrazu Velázquez’a *Panny dworskie* dokonany przez Michela Foucaulta w książce *Słowa i rzeczy* (wyd. pol. w tłum. T. Komendanta i A. Tatariewicz, Gdańsk 2005 – przypis tłum.), a także za sprawą publikacji Jacques’a Derridy pt. *Prawda w malarstwie* (wyd. pol. w tłum. M. Kwietniewskiej, Gdańsk 2003 – przypis tłum.) i Rolanda Barthes’a *Światło obrazu. O fotografii* (wyd. pol. w tłum. J. Trznadla, Warszawa 1996 – przypis tłum.).

<sup>23</sup> Zob. na przykład S. Fish, *Doing What Comes Naturally: Change, Rhetoric, and the Practice of Theory in Literary and Legal Studies*, Oxford 1989; M. Aristodemou, *Law and Literature: Journeys from Her [sic] to Eternity*, Oxford 2000.

<sup>24</sup> Zagadnienie to świetnie ilustruje każda z licznych i od lat 90. XX wieku, cieszących się tak dużą popularnością wystaw poświęconych historii medycyny, anatomii, sprawom związanym z odczytywaniem ciała na przestrzeni wieków aż po dzień dzisiejszy. Osobiście byłem pod wrażeniem wystawy *The Quick and the Dead* oraz towarzyszącego jej katalogu zredagowanego przez Deannę Peterbridge i wydany przez Hayward Gallery/Arts Council w 1997 roku.

<sup>25</sup> Pierwodruk artykułu ukazał się w czasopiśmie „Social Text” 1996, nr 46/47, po czym został przedrukowany w książce *Modne bzdury. O nadużyciach nauki popełnianych przez postmodernistycznych intelektualistów*, tłum. P. Amsterdamski, Warszawa 2004 (przypis tłum.).

teoretycznego *gumbo*. Autor wziął pod rozwagę problematykę z zakresu matematyki kwantowej i przedstawił ją za pomocą języka właściwego Teorii, nadając całości wydzwięk antyfundamentalistyczny i antyhegemonistyczny: „(...) w ostatnich latach feministyczna i poststrukturalistyczna krytyka zdemistyfikowała istotną treść głównego nurtu zachodniej praktyki naukowej, odstaniając ideologię dominacji ukrytą za fasadą jej »obiektywności«. Stąd też założenia fizyki mówiące, że – „istnieje zewnętrzny świat, którego własności są niezależne od dowolnej istoty ludzkiej, a nawet ludzkości jako całości, własności te są zakodowane w »wiecznych« prawach fizycznych, a istoty ludzkie mogą uzyskać wiarygodną, choć niedoskonałą znajomość tych praw, przestrzegając »obiektywnych« procedur i epistemologicznych przykazań, określonych przez (tak zwaną) metodę naukową” – stanowią po prostu, jak obwieścił Sokal, kolejny zestaw postoświeceniowych dogmatów, które należy zdemaskować przy pomocy narzędzi teoretycznych przejętych z dziedziny literaturo- i językoznawczej<sup>26</sup>. Dlaczegoż by nie? Przecież redaktorzy „Social Text” już dawno temu dali się nabrać na uniwersalistyczną wizję kreowaną przez Teorię. A skoro geografia, muzyka czy teologia na dobre poddały się Teorii, to czemu nauki matematyczne i fizyczne nie mają pójść ich śladem? Oczywiście, jeśli idzie o Teoretyków i samą Teorię, to wszelkie ludzkie (i nie tylko) wytwory zostały już niejako udiwnione i powykrzywiane we wszystkie możliwe strony za pomocą tych samych narzędzi analitycznych. A każdy z tych wytworów jest „ukształtowany na podobieństwo języka”. Języka, rzecz jasna, rozpatrywanego na sposób sceptyczny.

Skoro Teoria łączy tak wiele elementów dotyczących zarówno kobiet, jak i mężczyzn, oraz oferuje to czy tamto mniej lub bardziej każdemu bez względu na płeć, przynależność rasową bądź społeczną i krytyczne zaplecze, funkcjonując jako badawczy lub inny sposób dotarcia do każdej tekstualnej praktyki przynależnej do dowolnego momentu i okoliczności, to twierdzenie, że ten czy inny krytycznoliteracki zaufek Teorii jest potrzebny, rzeczywiście zaczyna przerażać się w czystą ewentualność i sprowadzać do pytania o to, co użyteczne albo po prostu poręczne w konkretnej sytuacji czytelniczej. Poręczność zadecydowała oczywiście o sukcesie Teorii. Za pomocą tego właśnie klucza Teoria otwiera drzwi do świata tekstu i nie tylko. Coraz liczniejsze podręczniki akademickie proponują poręczność jako wytrych, umożliwiając czytelnikowi włamywanie się do tekstów na własną rękę. Dzięki niemu zaczniesz „czytać na sposób kobiety”, bez względu na to, kim tak naprawdę jesteś, a następnie będziesz mógł (mogła) spróbować lektury marksizującej, napisać esej zgodnie z wytycznymi Nowego Historyzmu, po czym rzucić okiem na interesujący artykuł napisany w stylu Lacana. Douglas Tallack bardzo trafnie scharakteryzował ten Teoretyczny pragmatyzm czy raczej oportunizm w książce *Literary Theory at Work* (1987), w której Pracownia Teoretyczna z Uniwersytetu Nottingham podjęła się analizy trzech utworów: *Jądra ciemności* Josepha Conrada, *W klatce* Henry’ego Jamesa i *St Mawr* Davida Herberta Lawrence’a zinterpretowanych

<sup>26</sup> A. Sokal, op. cit., s. 205–206. Zob. także artykuł Sokala, w którym wyraża on swoje oburzenie łatwością, z jaką udało mu się przeprowadzić swoje „oszustwo”: idem, *A Physicist Experiment with Cultural Studies*, „Lingua Franca” 1996, nr 4 (maj-czerwiec), s. 62–64.

z odmiennych perspektyw literaturoznawczych – od narratologicznej, przez polityczną, aż po dekonstrukcję i psychoanalizę. I wszystkie okazały się mniej lub bardziej przekonujące<sup>27</sup>.

„Która Teoria?” – pyta Raman Selden w książce *Practising Theory and Reading Literature: an Introduction*, mając oczywiście na myśli to, która z teorii byłaby najbardziej odpowiednia dla niego i zarazem dla każdego innego czytelnika czy badacza znajdującego się w tej lub innej sytuacji czytelniczej. A odpowiedź brzmi: „de facto pluralizm”. „Najlepiej byłoby pozwolić, by kwitło wiele kwiatów i potraktować tę Teoretyczną różnorodność jako róg obfitości, z którego można korzystać bez skrupowania”<sup>28</sup>. Czyli, nawiązując do poprzedniej metafory, do woli rozsmakowywać się w swoim gumbo. Selden odcina się wprawdzie od postawy kierującej się zasadami „gospodarki rynkowej”, ale jego spojrzenie na Teoretyczną różnorodność sugeruje właśnie, by korzystać z tego i owego, wedle własnego uznania, wybierać i mieszać różne podejścia do tekstu (oczywiście z wyjątkiem tych, które popierałyby rasizm, szowinizm, faszyzm lub brały stronę klasy rządzącej). Tego rodzaju liberalizm stanowi dla wielu badaczy esencję postmodernizmu, czyli, ściślej mówiąc, tego, do czego dotarła Teoria w swojej różnorodności, wieloznaczności i wielokulturowości, w podejrzliwości wobec wszelkich kanonów, ocen czy twierdzeń orzekających o prawdzie. Jest to więc eklektyzm, który w naturalny sposób irytuje wielu purystów, którzy przetrwali wśród Teoretyków; różne rejony Teorii, zainicjowane jako bardzo rygorystyczne sposoby postępowania analitycznego uległy splądrowaniu i rozmyciu w szczegółach. De Saussure i Freud, Marks i Lacan, a także Derrida i całe to plemię proroków twierdzili, że język lub podmiot są tym lub owym, a zatem tekst i pisanie polega w rzeczywistości na tym lub tamym. Wielu Teoretyków, a w szczególności owych wyjątkowo żarliwych ideologów, głęboko wierzy, że trzeba czytać tak, jak robi to dekonstrukcjonista, kobieta, lesbijka, a nawet niegdysiejszy, wyzwolony niewolnik, a jeśli tak nie robisz, to znaczy, że w swojej lekturze nie docierasz do istoty spraw i sedna języka, że odznaczasz się brakiem wrażliwości bądź ślepotą na historię oraz objawiające się w niej prześladowanie itp. Jedynie za pomocą wymienionych narzędzi można nadać krytycyzmowi rangę krytycyzmu niekwestionowanego.

To „oswojenie” Teorii opisywanej w licznych skryptach i prezentowanej podczas różnych kursów uniwersyteckich dla wolnych słuchaczy martwi na przykład Juliana Wolfreysa, Teoretyka z prawdziwego zdarzenia, któremu zależy na tym, by Teoria utrzymała radykalizm swojej krytyki. Badacz ów narzeka na to, że kursy teorii literatury przypominają zestaw szczepień przeciw wścieklicznie, dający swego rodzaju zabezpieczenie i stanowiący „kontrolowaną formę wprowadzenia choroby do wnętrza organizmu”, zapanowania nad zarazkami i wymieszania ich ze zdrowymi elementami. Przypomina to coś w rodzaju teoretycznego turyzmu („Skoro to już szósty tydzień zajęć, zatem czas na feminizm”<sup>29</sup>). Mimo to samemu

<sup>27</sup> Zob. *Literary Theory at Work: Three Texts*, pod red. D. Tallacka, Londyn 1987.

<sup>28</sup> R. Selden, *Practising Theory and Reading Literature: An Introduction*, Lexington 1989.

<sup>29</sup> J. Wolfreys, Introduction: *Border Crossings, or Close Encounters of the Textual Kind*, [w:] *Literary Theory*, op. cit., s. 1–11.

Wolfreysowi nie udało się uniknąć w swojej książce owego efektu długiej listy, która, chcąc nie chcąc, zamienia się w przewodnik turystyczny po najbardziej atrakcyjnych miejscach. Publikacja ta zachęca raczej do traktowania Teorii jako kasy samoobsługowej i podtrzymuje radosny pragmatyzm w stylu Richarda Rorty'ego, dla którego wszelkie niepodważalne reguły czytania są zawodne („pogląd mówiący, że ‘teoria’ – rozpatrywana jako ‘próba sterowania interpretacjami poszczególnych tekstów przez odwoływanie się do pojęcia interpretacji w ogóle’ – musi odejść w niepamięć”)<sup>30</sup>.

Starzy Bolszewicy, jak moglibyśmy ich nazwać, czyli owi żarliwi wyznawcy Teorii, cenią wysoko to, co uznają za w absolutnie rewolucyjną siłę zwrotu lingwistycznego, zwłaszcza w wersji dekonstrukcjonistycznej. Liczni Teoretycy z Europy (nie tylko zresztą Francuzi), jak również niektórzy przedstawiciele obu Ameryk, rzeczywiście zaczęli jako lewacy przywiązani do podstawowego krytycznoliterackiego pojęcia hermeneutyki prawdy jako czegoś nie tyle nawet rewolucyjnego, co mającego wręcz rangę ostatecznej zmiany. Mówili z łatwością, a nawet z poczuciem konieczności o całkowitej utracie wszelkich tradycyjnych wartości, o wywróceniu do góry nogami wszelkich dotychczasowych ustaleń, o „rozdarciu w duszy tradycyjnego literaturoznawstwa”, o „prawdziwym zerwaniu – jak twierdzili – z dziedzictwem romantycznym” itd. (zaczepnąłem wszystkie te terminy mówiące o zerwaniu, przełamaniu itp. na chybił trafił ze wstępu Romana Seldena do jego książki *Practicing Theory and Reading Literature*). Catherine Belsey – kolejna stara Bolszewiczka Teorii – przypomina w swojej żarliwie dogmatycznej pracy *Critical Practise* (1980) o tym, że Freud lubił myśleć o swojej koncepcji podmiotowości jako o zwrocie kopernikańskim, naruszającym stare koncepcje indywidualności, a Lacan w zupełności podzielał tę opinię. Belsey poświęca jednak końcową część swojej książki na udowodnienie, że naprawdę przełomowa okazała się dopiero, inspirowana de Saussure'iem i stanowiąca kontynuację pomysłu Freuda, Lacanowska decentralizacja podmiotu<sup>31</sup>. Te i tym podobne marzenia o rewolucyjności są typowe dla naszych Teoretyków. Tymczasem jednak w samej Teorii nie ma nic, co faktycznie okazałoby się rewolucyjne – wszystko polega bowiem jedynie na próbach dodania nowej energii starym podrygom, którym podlega literaturoznawstwo, na tym, co T.S. Eliot w poemacie *Środa popielcowa* napisanym tuż po swojej konwersji na anglikanizm określił mianem ciągłego skręcania.

Pod wieloma względami istnieje tylko jedna historia teorii literatury – i co mądrzejsi badacze coraz częściej to zauważają – tak jak w trafnym ujęciu w utworzonej w 2001 roku teoretycznoliterackiej bazie danych Chadwyck-Healeya: „która śledzi teorię literatury od Platona po dzień dzisiejszy”<sup>32</sup> czy też, jak sugeruje reklama, od Arystotelesa do Derridy. Oczywiście wszystko to, z czego składa się Teoria, odnosi się do tej czy innej sfery lub też do ich kombinacji powstałej z tego, na czym skupiała się główna linia teorii literackiej od czasów poetyki i problemów estetyki sformułowanych

<sup>30</sup> R. Rorty, *Philosophy Without Principles*, [w:] *Against Theory: Literary Studies and the New Pragmatism*, pod red. W. J. T. Mitchella, s. 132.

<sup>31</sup> C. Belsey, *Critical Practise*, Londyn 1980.

<sup>32</sup> Chadwyck-Healey, *Teoria literatury* (baza danych): <http://collections.chadwyck.com/marketing/index.jsp>

po raz pierwszy przez starożytnych Greków i Rzymian. Te zaś od zawsze bazowały na trzech łatwych do poznania i do pomyślenia strefach odpowiadających trzem najważniejszym składnikom podstawowego modelu komunikacji językowej. Są to zawsze: nadawca, komunikat i odbiorca – autor, tekst, czytelnik – akt pisania, przedmiot napisany i jego odczytanie – wkład literacki, obiekt literacki powstały w określonym tu i teraz oraz czytelnicze próby dotarcia do owego tu i teraz. Czy też, jeszcze inaczej: przyczyna, następstwo, efekt. Tylko trzy, lecz za to bardzo potężne elementy. I cała historia krytyki oraz teorii literackiej to obraz dokonywanego przez wieki ze zmiennym szczęściem zmagania z tymi trzema kategoriami. One właśnie ilustrują rangę i naturę literaturoznawczego teoretyzowania. To, co z tymi kategoriami robiono, jak przesuwano akcenty i zmieniano definicje na przestrzeni czasu, oddaje właściwy sens zarówno historii, jak i polityki owego teoretyzowania.

Rzadko kiedy dawna krytyka literacka podkreślała znaczenie wszystkich tych kategorii równocześnie. Jak każda wyrocznia mody, była ona wyjątkowo wybiórcza i częściowa. Tłoczna współobecność owych trzech elementów w ramach Teorii to jeden ze znaków wskazujących na to, czym postmodernistyczna Teoria różni się od tradycyjnej – to wyznacznik wszędobylskiej obecności Teoretycznego *gumbo*. Ale bez względu na to, czy w konkretnym momencie dziejowym te trzy kategorie występowały jedynie częściowo, czy też wspólnie, to właśnie one – ich inkarnacje, redefinicje, przeformułowania, różne zwroty i powroty – zawsze stanowiły trójcę, od początków aż do teraz, od teoretycznej Genesis po współczesną Apokalipsę Teoretyczną.

Jak pokazuje pobieżnie nakreślona mapa głównych kierunków teorii literatury na przestrzeni ostatnich dwóch i pół tysiąca lat, zmieniają się jedynie tymczasowe dominanty i wielkość ogniskowej. Teoria zawsze stawia na piedestale tę czy inną kategorię spośród Wielkiej Trójcy, nigdy zaś nie odrzuca wszystkich naraz, „rozwój” krytyki i teorii przypomina pod tym względem trójwymiarową grę. Tak było, jest i będzie. Wybitnego dziewiętnastowiecznego krytyka Thomasa Carlyle’a całkowicie pochłonęła tekstualność (jego szalony *Sartor Resartus* [1834] to przykład dziko rozplenionej tekstualności idącej znacznie dalej niż *Tristram Shandy* i jego postmodernistyczni wielbiciele), ale oprócz tego jest on zapalonym biografistą, chętnie promującym poetów swego czasu na herosów. Matthew Arnold również interesuje się autorami i ciągle rozpisuje się o tekście („najlepsze”, co tylko zostało kiedykolwiek „pomyślane czy napisane”), ale tak jak wielu krytyków ery wiktoriańskiej jego główne rozważania dotyczą moralnego i społecznego wpływu poezji. Dla Arnolda stanowi ona mechanizm akulturacyjny. Kształtaci i socjalizuje, a przede wszystkim – pociesza i poucza czytelników niczym świecki substytut nauk chrześcijańskich. Teoretyczny nacisk przeszedł więc teraz z romantycznego zainteresowania autorem na czytelnika, kontekst, świat, a więc zajął się zarówno konstrukcją indywidualną, jak i społeczną, wewnętrznym rozwojem czy (używając terminu chrześcijańskiego) duchowym oświeceniem. To podejście charakteryzowało zarówno George’a Eliota, jak i Marksa, a także zainspirowanych epoką wiktoriańską T.S. Eliota i F.R. Leavisa.

Pozostali spadkobiercy XIX wieku zdecydowali się, rzecz jasna, raczej na bunt niż na akceptację starych metod i koncepcji. Tym, co skłoniło Ferdynanda de Saussure'a do zainicjowania we wprowadzeniu do swojego *Kursu* długiej dyskusji na temat lingwistyczności jako takiej, było nic innego jak reakcja na dziewiętnastowieczną koncentrację na filologii, na języku w historii oraz świecie poza nim (de Saussure to, bądź co bądź, specjalista od sanskrytu). Można by nawet powiedzieć, że de Saussure uchwycił sedno późno dziewiętnastowiecznej ucieczki od realizmu ku symbolizmowi, estetyce, formalizmowi, imażinizmowi i zajął się samym tekstem, wolnym od wszelkich zewnętrznych naleciałości. Ten sam rewolucyjny duch wcielił się następnie w zainspirowanych de Saussure'em formalistów rosyjskich – ci zaś szybko popadli w konflikt z nowym sowieckim ustrojem, którego reprezentanci z nostalgią patrzyli na dziewiętnastowieczne rozważania teoretyczne łączące dzieło literackie z kontekstem społecznym, czyli tym, gdzie znajdowali się czytelnicy i gdzie tkwiło źródło estetycznego dobra – co stanowiło, w rzeczy samej, prawdziwie reakcyjną reakcją przeciwko reakcji na sam modernizm. I, bądź co bądź, obaj inicjatorzy estetyki marksistowskiej, Marks i Engels, byli niczym innym jak właśnie Wielkimi Przedstawicielami Epoki Wiktoriańskiej. Nie przypadkiem jedną z charakterystycznych dla XX wieku i regularnie powtarzających się batalii teoretyków stała się kłótnia między badaczami o zacięciu formalistycznym a tymi, którzy skłaniali się ku polityce. I.A. Richards, pomysłodawca Nowego Pragmatyzmu, oraz jego uczniowie z grona Chicagowskiej Nowej Krytyki żywo protestowali przeciwko upolitycznieniu i uteologicznieniu czytania, rozpowszechnionemu w latach 20. i 30. pod wpływem sowieckiego doktrynalizmu oraz jego faszystowskich i chrześcijańskich przeciwników. Dla zwolenników Nowej Krytyki liczył się jedynie „słowny obraz” (ang. *a verbal icon*), a koncepcja tekstu jako podległego jedynie samemu sobie, „dobrze ukształtowanego naczynia” razem z innymi rozważaniami krytycznoliterackimi precyzyjnie wykluczały wszelką herezję.

Strukturalizm, a potem dekonstrukcja wyszły w mniejszym lub większym stopniu w linii prostej od de Saussure'owskiego formalizmu, podparte ideami wielkiego współczesnego de Saussure'a, czyli Zygmunta Freuda, który położył szczególny nacisk na struktury narracyjne i retoryczne „snu jako tekstu”. Oczywiście Freud w prowadzonych przez siebie badaniach miał na uwadze dobro swych rzeczywistych pacjentów oraz ich terapię, czerpiąc wiedzę z autentycznych snów, interpretując je i żywiąc nadzieję, że jego prace przyniosą wymierne efekty w leczeniu konkretnych przypadków. Podobnie było z Jacques'em Lacanem. O ile jednak refleksje Freuda posłużyły jako zestaw wskazówek pomagających analizować wnętrze tekstu (problemem Hamleta jest „kompleks Edypa”), o tyle najważniejszy wkład Lacana do literatury polegał na pokazaniu, jak odczytywać powierzchnię tekstu (ślizgające się znaczące, luki w tekście itd.), co oczywiście nie przeszkodziło mu w tym, by wesprzeć swoją teorią zaangażowanych politycznie badaczy dyskursu „inności”. Ale wówczas okazało się, że de Saussure'owską różnicę można również zaadaptować do teorii polityczujących, a Michel Foucault, wielki inspirator Nowego Historyzmu i całej reszty, wykorzystał z powodzeniem te formalistyczne pojęcia, aby ożywić swój marksizm. W ten oto sposób docieramy z powrotem do naszego Teoretycznego *gumbo*,



a przy okazji udało nam się zilustrować tezę mówiącą, że weryfikacja pomysłów w ramach Teorii polegała raczej na ustanawianiu norm niż na rewolucji.

Krytycyzm zawsze żąda nowości, chce być czymś nowym. Nie chodzi przy tym jedynie o pisarzy, którzy chcą (jak ujął to Ezra Pound) „odnowić literaturę”<sup>33</sup>. Krytycyzm nigdy nie był całkiem nowy, a historia, którą tu omawiam, to po prostu seria powrotów do tej samej Wielkiej Trójcy oraz zawirowań wokół niej, to ciągły ruch, nieustający proces przywracania do życia, przesuwania z kąta w kąt, odczytywania na nowo, poddawania rewizji. Arystoteles bierze górę nad Platonem, Sidney, uzbrojony w arystotelesowskie narzędzia, stawia czoła współczesnym sobie purytanom, formalisci stawiają opór realistom, którzy z kolei też przeciwstawiają się ich tezom, Lacan odczytuje na nowo Freuda, Althusser odczytuje po swojemu Marksa, Leavis walczy z Nowymi Krytykami, a ci ścierają się z marksistami, Derrida odsuwa się od marksizmu i zostaje odrzucony przez Foucaulta, po czym przejmuje kategorie podmiotu, historii i „obecności” od swoich dekonstrukcjonistycznych zwolenników, którzy zrezygnowali z nich w imię jego własnej teorii (ale dzięki temu Derrida odzyskuje poparcie Foucaulta). I tak bez końca, skurcze i rozkurcze, oddalenia i powroty.

Rewizjonizm jest, rzecz jasna, zawsze nacechowany nostalgią. Socrealizm dążył na przykład do zastąpienia rozbuchanego modernizmu i formalizmu prostym dziewiętnastowiecznym realizmem. A nasza nowoczesna Teoria w stopniu większym niż jakikolwiek wcześniejszy zestaw teoretycznych pojęć i narzędzi powodowała u swoich przeciwników przemożną chęć przywrócenia teorii z jakiegoś wcześniejszego okresu oraz powrotu do mitycznych czasów, w których obowiązywała większa teoretyczna lub kulturowa klarowność, to jest zanim nastąpiła obecna era wielokulturowości (czy, jak chcą niektórzy, *multi-culti* z naciskiem na ujawniające się w tym określeniu pejoratywnie rozumiane słowo „kult”), rozbijająca to, co dotąd traktowane było jako spójny, jednolity język i nastawienie (a więc stanowiło rodzaj rasizmu o odcieniu estetycznym), zanim nadeszły dekonstrukcja (dla uszu przeciwników rymująca się oczywiście ze słowem destrukcja) oraz „kultura narzekania”<sup>34</sup>, a wraz z nią, jak głoszono wszem i wobec, doszły do głosu domagające się swoich praw feministki oraz adepci *black studies*. Ale żaden prosty powrót do stanu teoretycznej niewinności sprzed zjedzenia owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego nie jest już możliwy, o ile w ogóle można o czymś takim mówić. Nigdy nie istniała żadna teoretyczna arkadia, jak to sugerują przeciwnicy Teorii. Nieprzyjemne sprawy poruszane przez Teorię były, w tej czy innej formie, obecne od zawsze, czasem pozostawały nieme, a często po prostu inaczej rozmieszczone, ale jednak obecne. Teoria od początku znajdowała się niejako w stanie upadku. Tym, co w jej najnowszej wersji zasmuca jednych, a innych z kolei podnieca, nie jest w żadnym razie jej innowacyjność, lecz to, co jest wynikiem gruntownych zabiegów renowacyjnych.

Tę gruntowną renowację dobrze widać. Teoretyczne odczytywanie na nowo polega na rzeczywiście nowym sposobie lektury. Marks jest interpretowany przez pryzmat

<sup>33</sup> Odwołanie do tytułu popularnego eseju (i zarazem tytułu zbioru esejów) Pounda *Make it New* (przypis tłum.).

<sup>34</sup> Odwołanie do tytułu książki Roberta Hughes’a *Culture of Complaint: The Fraying of America*, Oxford 1993.

Foucaulta, a Freud – Lacanizowany. Formalistyczne podejście Nowych Krytyków odnawia się ze zdwojoną siłą w strukturalizmie, a wskazany przez nich błąd biografizmu (ang. *biographical fallacy*) powrócił dużo dobitniej jako Barthes'owska śmierć autora. Rosyjski formalizm stał się pożywką dla dekonstrukcji. Stary Historyzm przeszedł w Nowy, ale jest to historyzm przeniknięty zasadniczymi wątpliwościami wobec do historii. Oczywiście w każdym nowym zwrocie teoretycznym zawsze jest i będzie widać tendencję re-wizjonistyczną. Intensywność, z jaką krytyka wikała się w politykę, stanowiła pod wieloma względami reakcją na siłę, z jaką utrzymywał się właściwy dla dekonstrukcji antyfundamentalizm. Z kolei wyśmiany niegdyś humanizm powrócił pod postacią tak zwanego „antropologicznego zwrotu” w studiach o literaturze<sup>35</sup>.

Zwolenników i przeciwników Teorii zwoździ to, że wszyscy, którzy wracają ze starymi, lecz odnowionymi pomysłami, bez względu na to, czy się ich oczekuje, czy też przyjmuje z niechęcią, nigdy nie wkładają tego samego kapelusza, jaki mieli na sobie, odchodząc. Jak kiedyś świetnie ujął to Raymond Williams, nawiązując do złośliwej uwagi Milтона z utworu *Aeropagitica*: „nowy prezbiter” okazał się „nikim innym jak tym samym starym księdzem, tyle że grubszym”, podobnie nowy strukturalizm był niczym innym jak starą Nową Krytyką, tyle że spotęgowaną. Uwaga słuszna, choć nie do końca. Powrót jakiejś teorii zawsze zawiera w sobie trochę tego, co akurat jest na czasie. Althusser przypomina Marksa przepuszczonego przez teksty de Saussure'a. Także Lacan spogląda przez pryzmat de Saussure'a na Freuda. Nowy Historyzm jest odświeżoną wersją starego, z tą różnicą, że tym razem proponuje się, by patrzeć na historię z punktu widzenia tekstualności. Dlatego Stephen Greenblatt, guru tego nurtu, a przy tym średni marksista, to jeden z tych badaczy, dla których pisanie stanowi zarówno wytwór historii, jak i wkład w nią. Model ten ulega komplikacji, ponieważ główny nacisk zostaje położony na to, co jedne teksty dają drugim i w efekcie „cyrkulacja tekstów” zastępuje tym samym inne rodzaje obiegu – na przykład między ludźmi i przedmiotami a tekstami i na odwrót. Z kolei dwudziestowieczny socrealizm jest zjawiskiem dużo węższym niż dziewiętnastowieczny realizm społeczny. A koncepcja „śmierci autora” okazuje się bardziej radykalna niż błąd biografizmu, gdyż Nowi Krytycy nawet nie śnili o autorze martwym, a jedynie takim, o którym nie powinno się mówić. A kiedy na powrót zaczyna obowiązywać „nowy” biografizm, natychmiast włącza się w jego obręb kwestie genderowe oraz pierwszoplanowe zagadnienia hermeneutyczne, a zarazem w metatekstowy sposób niemożliwy do pomyślenia bez Teorii zgłasza się wątpliwość co do źródła tych opowieści. I kiedy jako palący problem powraca pytanie o czytelnika, to – mimo że zawsze pociąga ono za sobą dyskusję wokół Arystotelesowskiej kategorii *katharsis* albo refleksję na temat koncepcji Johnsona, traktującego tekst jako miejsca spotkania pisarza i czytelnika – znów zostaje ono sformułowane nieco inaczej niż wcześniej, czy szło będzie, powiedzmy, o odrzucenie w latach 20. przez I. A. Richardsa z Cambridge oddźwięku

<sup>35</sup> Zob. W. Iser, *Czym jest antropologia literatury? Różnica między fikcjami wyjaśniającymi a odkrywającymi*, tłum. A. Kowalcz-Pawlik, „Teksty Drugie” 2006, nr 5; idem, *The Anthropological Turn In Literary Studies*, pod red. J. Schlaegera, [w:] „REAL: Yearbook of Research in English and American Literature”, t. 12, Tybinga 1996.

emocjonalnego jako wartości, czy o zainteresowanie Wolfganga Isera reakcjami czytelniczymi, czy też o wagę przyznaną kwestiom emocji podczas tzw. „wojny o kanon” w konsekwencji naszych debat wokół płci, rasy i przynależności klasowej. Owe teoretyczne nawroty nieuchronnie przynoszą ze sobą spiętrzenie problemów.

Dlatego też teoretyzowanie na temat literatury zawsze przypomina palimpsest. Pod najświeższymi wpisami można odczytać dużo starsze inskrypcje. Pamięć teoretyczna okazuje się silniejsza od wyrażanych przez Teorię nadziei i pragnień, by przynieść prawdziwą rewolucję. Dzisiejsza Teoria ma wiele wspólnego z czymś w rodzaju współczesnej archeologii i paleografii. Archiwa Teorii są stale otwarte. Podobnie dzieje się ze sposobami komunikacji. Przenieśliśmy się od rękopisów, przez druk, do świata IT, ale ja zawsze najpierw staram się zapisać wszystko ręcznie. Teraz lecę samolotem, za chwilę prowadzę samochód, jadę na rowerze, idę pieszo. I kiedy ekskluzywny concorde z hukiem przelatuje nad naszymi głowami, a obok przepływa barka i przejeżdża pociąg, w tym czasie zawsze ktoś, jak ujął to Larkin w swoim utworze *The Whitsun Weddings*, „biegnie za piłką”.

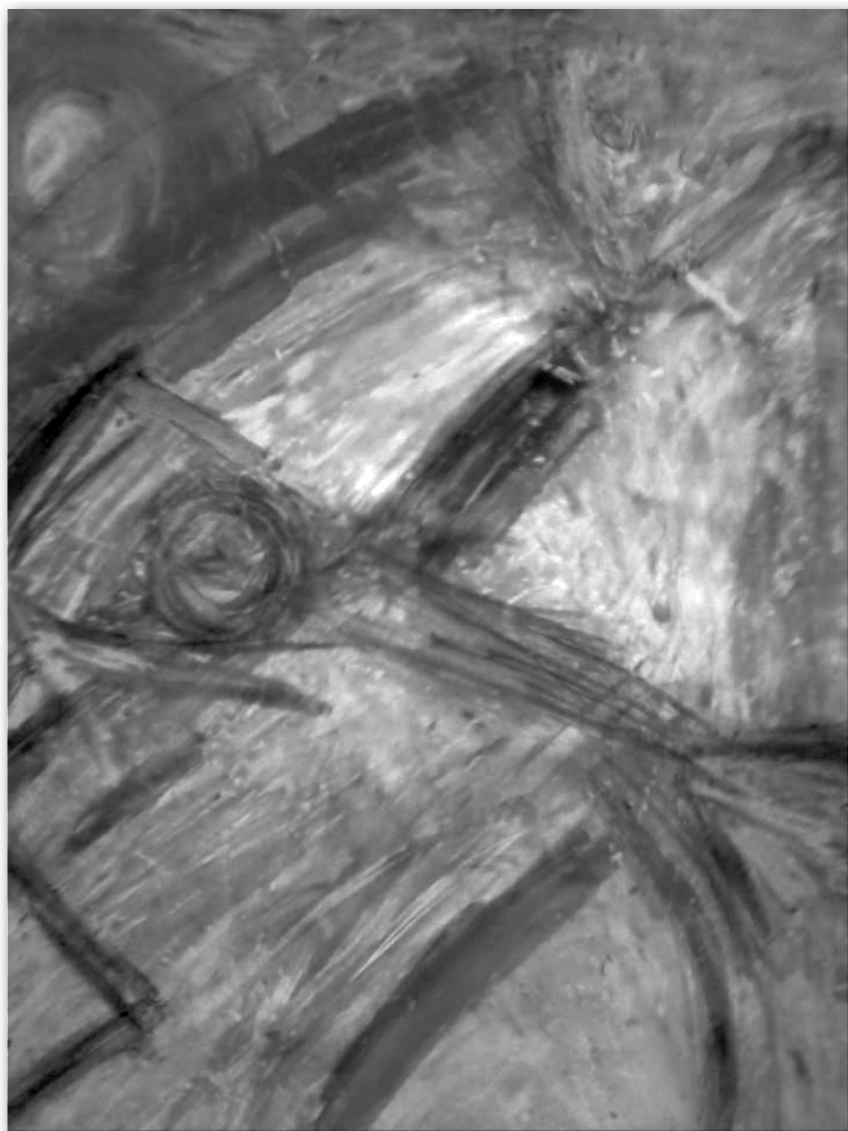
Kiedy odmawiam Teorii absolutnej innowacyjności, czynię tak bardziej z chęci odnalezienia dla niej właściwego miejsca niż z dążenia do jej deprecjacji. Jeśli Derrida i Foucault tworzą concorde Teorii – a ona sama istotnie przypomina ogromnego Gumbo Jeta – to łatwo zrozumieć podniecenie wywołane jej licznymi zwrotami i zawirowaniami. Na tym zawsze polegało i nadal polega wartość Teorii – oraz jej zyski.

### **Summary Theory, what theory?**

The article addresses the problem of postmodern theory, showing that despite its global academic uniqueness, it creates a heterogeneous mix that is extremely hard to define and understand, even among scholars. Additionally, the article demonstrates that many modern theoretical conceptions, in fact, have been derived from nineteenth-century and older ideas, which makes theory something akin to a palimpsest.



Sylwia Gibaszek



Sylwia Gibaszek